

Marek Tarnowicz

LABORATORIUM



**CZARNY
DESZCZ**



Marek Tarnowicz

LABORATORIUM

TOM I

CZARNY

DESZCZ

BRAMA FANTAZJI

Redakcja: Paulina Nowaczyk
Skład DTP: Joanna Bianga
Okładka wg projektu autora: Robert Zajączkowski

Copyright © 2018 by Marek Tarnowicz

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów
książki możliwe tylko na podstawie pisemnej zgody autora.

Wydanie I

ISBN: 978-83-66192-00-3

ISBN 978-83-66192-00-3



9 788366 192003 >

BRAMA FANTAZJI

Dziękuję Panu Bogu za wytrwałość

*Książkę dedykuję koleżankom
i kolegom z laboratorium
z okazji 100 rocznicy niepodległości Polski*

*Młodzieży Polska, patrz na ten krzyż!
Legiony Polskie dźwignęły go wzwyż,
przechodząc góry, doliny i zwały,
do Ciebie Polsko i dla Twojej chwały.*

Słowa wyryte na krzyżu postawionym na przełęczy Rogodze

autor: Adam Szania

II Brygada „Żelazna” Hallera



Podziemny bunkier Wojskowego Instytutu Badawczego Stanów Zjednoczonych Europy.

– To mówisz, że spadnie jakieś dziesięć kilometrów od nas... – Technik łączności oglądał mapę obszaru na monitorze.

– Tak wyliczyli ci z NASA.

– NASA? To brzmi jak dowcip.

– Korzystali z naszej MEDUZY.

– Aa? Dużo czasu zostało?

– Masz zegar... cholera!

– Gdzie ten zegar?

– Nieważne! Przyśpieszyła!

– Co przyśpieszyło?

– Jak to co?! Meteoroida!

– Jaja sobie robisz? Jak mogła przyśpieszyć? Przecież to nie pojazd.

– Otóż to. Pięć godzin. Poczekaj, nie! Ciągłe przyśpiesza. CZERWONY ALARM!

– Co ty pieprzysz? Jaki...

– OGŁASZAM CZERWONY ALARM! Meteoroida zmieniła kurs! Włączam maskowanie i zakłócanie elektroniczne!

W bunkrze zawyły syreny alarmowe i zamigotały, pulsując, czerwone ledowe ekrany na ścianach. Komputery włączyły systemy obronne jak podczas ataku. Na obrzeżach bazy z podziemi zostały wysunięte wyrzutnie raket i działa laserowe. Odpalone jedna za drugą, w przestrzeń kosmiczną poleciały cztery pociski z głowicami

pozytonowymi. Kierowane przez satelitarny system MEDUZA w ciągu kilku sekund dotarły prosto do celu. Ekspłodowały i nic. Sztuczna inteligencja MEDUZY odpaliła następane cztery, atakując jednocześnie obiekt swoimi działkami laserowymi.

Tuż przed uderzeniem w ziemię meteor wysłał pulsującą wiązkę promieniowania nieznanego typu. Trafiła ona dokładnie tuż obok bunkra. Warstwa gleby i skał zaczęła parować albo dymić jak podczas spalania. Taki obraz został zarejestrowany przez śledzącą ją cały czas kamery MEDUZY. Wiązania grawitacyjne na poziomie atomowym pierwiastków uległy rozpadowi, ułatwiając mu przebicie przez skorupę ziemską. Uderzenie w ziemię było precyzyjne i nie licząc huku, czyli efektu związanego z prędkością ponaddźwiękową, z którą spadł, nie wywołało żadnego wstrząsu. W miejscu przejścia powstał kilkunastometrowej średnicy otwór, z którego w krótkim czasie wytrysnęła lawa. Erupcja trwała jakiś czas, by po zalaniu okolicy wraz z podziemnym laboratorium zastygnąć. Temperatura magmy powoli spadała, gdy w najbliższym sąsiedztwie wylądowały pierwsze pojazdy. Zdalnie sterowane roboty wypełzły i wyleciały z ładowni, po czym rozpoczęły zbieranie wszelkich dostępnych danych. Prześwietliły i przeskanowały każdy centymetr kwadratowy ziemi oraz stygnącej masy wulkanicznej. W bunkrze zarejestrowały oznaki życia. Na obrazach holograficznych wyświetlono symulację i określono miejsce. Padła komenda, aby zrobić dojazd do będących w tym miejscu ludzi. Ściągnięto maszyny górnicze i po dwóch godzinach ekipa ratunkowa sforsowała główny właz. Oględziny pierwszego poziomu przyniosły jeden wniosek – wszyscy tu zginęli od wysokiej temperatury lawy. Ściana, przy której przeszła wiązka, przestała praktycznie istnieć, przez co nic nie powstrzymało lawy przed zalaniem pierwszego pomieszczenia. Ratownicy zaczęli

schodzić szybem wentylacyjnym na niższy poziom. Sytuacja wszędzie wyglądała identycznie. Rannych znaleziono dopiero na poziomie laboratoryjnym, wśród pracujących tu techników. Pięciu z całego zespołu było w stanie krytycznym, ale żyło dzięki pancerzom, które mieli na sobie podczas przeprowadzania badań. Natychmiast przetransportowano rannych na górę, po czym przewieziono ich do wojskowej kliniki medycznej.



Czterowirnikowe transportery opancerzone Wojsk Desantowych, ledwie mieszcząc się obok siebie, opadły na lądowisko pomiędzy budynkami. Tu czekali na poszkodowanych lekarze wraz z zespołami reanimacyjnymi – w trakcie transportu zgłoszono, że stan pacjentów uległ pogorszeniu. Po pochylniach zjechały wózki medyczne zabudowane aparaturą. Pośród niezliczonej ilości kabli i rurek można było dostrzec kształt ludzkich ciał. Lekarze rzucili okiem na odczyty. Było źle, pomimo że urządzenia podtrzymujące życie cały czas dozowały dożylnie i bezpośrednio do niektórych organów środki podtrzymujące ich funkcjonowanie. Zastosowana śpiączka farmakologiczna niewiele pomagała stymulowanemu nieustannie sercu. Jego bicie nieuchronnie zmierzało do zera. Wózki zostały skierowane bezpośrednio na sale operacyjne, dokąd wysyłano nieustannie informacje o stanie pacjentów. Dosłownie na kilkadziesiąt sekund przed wjazdem przez drzwi na sale wszystkie czujniki wskazały stan agonalny u każdego z pacjentów. Z błyskawicznie wysuniętych wysięgników prosto w serca zostały wbite cieńsze od włosa elektrody. Oprócz prądu popłynęła nimi między innymi adrenalina. Wszystkie pięć serc podjęło momentalnie ponownie pracę. Lecz gdy zabiły mocniej raz i drugi, ich praca nieoczekiwanie ustała.

– Migiem, bo ich tracimy! – krzyknął czuwający nad wszystkim ordynator oddziału. – Defibrylacja! – krzyknął ponownie.

Lekarze wcisnęli przyciski uaktywniające urządzenia. Zespoły w pośpiechu rozdzieliły się, po czym każdy z nich wpadł biegiem na swoją salę, a serca ponownie podjęły pracę.

– Nic nie rozumiem. Wszystkie parametry są w normie. O co tu chodzi... – myślał głośno anestezjolog.

– Jeżeli utrzymamy ich jeszcze przez kilka minut, to będziemy wiedzieć – odpowiedział chirurg.

Pacjenta przełożono na stół operacyjny, a urządzenia diagnostyczne w kilka sekund precyzyjnie zeskanowały i opisały stan organizmu.

– Dziwne... Brakuje głównie ciężkich metali? Co to...

– Podajmy mu preparaty... – zaczęła jedna z pielęgniarek.

– Zaraz, siostró – przerwał jej. – Piątka, jaki jest stan pacjenta u was? – zapytał w przestrzeń.

– Brakuje mu ciężkich metali w organizmie – usłyszeli.

– Nasz na jedynce ma dokładnie to samo – dodał inny głos.

– Podajemy mu brakujące substancje i zobaczymy, co się będzie działo – zdecydował chirurg.

Pielęgniarka asystująca udała się pośpiesznie do podręcznej szafki i wyjęła woreczek z płynem. Szybko wróciła na miejsce, zawiesiła go na zaczepie i podłączyła do wenflonu. Dozownik zaczął wolno przetaczać zawartość do żyły.

– A teraz pozostaje nam tylko...

Pod powiekami pacjenta coś lekko zabłysło i niespodziewanie dla nich wszystkich otworzył szeroko oczy. Zaraz potem równie szybko je zamknął. Z jakiegoś bliżej nieokreślonego miejsca do uszu wszystkich w sali operacyjnej dotarł jakiś dziwny dźwięk o wysokiej częstotliwości. Przypominał on brzęczenie setek pszczoł. Ludzie spojrzeli po sobie, szukając potwierdzenia, że to nie omamy słuchowe. Anestezjolog już zamierzał to skomentować, gdy nagle zgasło światło. Coś głośno syknęło i poczuli swąd palonej izolacji. Przez kilka sekund ciemności rozświetlały wskaźniki z aparatury wózka zasilanej akumulatorami, lecz i one w końcu zgasły.



– Wyprzedzili nas znacznie – powiedział stojący na dziobie kilkadziesięciometrowego okrętu mężczyzna ubrany w czarny skórzany strój. Na jego plecach wisiał sporych rozmiarów miecz.

– Może użyli tylko kolejnego czaru – stwierdziła stojąca niedaleko niego kobieta, patrząc w bok.

– Nie. Wykorzystali ostatnią bryzę wiatru i odpłynęli. – Mężczyzna skrzył głowę w kierunku zwisających luźno płócien żagli.

– To sam wyczaruj trochę wiatru – doradziła jego asystentka, adeptka sztuk magicznych.

– Oczywiście żartujesz, Keetyko. Jak zwykle zresztą. – Popatrzył na nią. – A magiczne pozostałości po bitwie?

– Niebezpieczeństwo. To tylko stare księgi, Marlan. Stare i nieaktualne – dodała.

– Może i stare, a może nawet i nieaktualne... Ale nie zamierzam tego sprawdzać na własnej skórze.

– No to kolejne zabójstwo... Tym razem na Karun ujdzie im płazem, a my jak zwykle...

To go odrobinę rozsierdziło. Mężczyzna spojrzał uważnie na młodą kobietę. Nie pierwszy raz wypominała różnym możliwym tego kraju wcześniejsze uniki, które oni nazywali zaniedbaniami. Najgorsze było to, że miała całkowitą rację. Na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci zbyt dużo zbrodni nie zostało ukaranych.

– Keetyko... – nie dokończył.

Mag wyciągnął przed siebie ręce i wypowiedział zaklęcie przywołujące silny wiatr. Zaraz potem zrobił obrót w miejscu, kierując porywistą bryzę prosto w żagle. Te wypełniły się i okręt szarpnięty przez nadęte żagle ruszył szybciej. Trwało to jednak bardzo krótko. Niespodziewanie powietrze dookoła nich zalsniło od płomieni, które nie wiadomo jak ani skąd nagle otoczyły okręt.

– Marlan, zrób coś! – krzyknęła kobieta.

Mag ponownie wyciągnął przed siebie ręce i już zamierzał ingerować, kiedy równie niespodziewanie wszystko zniknęło. Statek płynął dalej pchany siłą rozpędu. Żagle znów zaledwie załopotwały pod wpływem słabego powiewu. Chwilę później jednak szarpnął nimi mocniejszy szkwał. Wszyscy będący na pokładzie chwycili się czegokolwiek, co było w zasięgu rąk, i nie zdążyli zareagować na dziwne zjawisko.

– Marlan... co to było? – zapytała adeptka.

– Wiatr – odpowiedział zdziwiony, że pyta.

– Ja nie o tym...

– Mm... Raczej nic o magicznym pochodzeniu. Nic takiego w tym nie wyczułem, chociaż... zaklęcie mogło sprawić, że... to coś się uaktywniło – dokończył, nie całkiem przekonany o słuszności swoich wniosków.

Dziewczyna kiwnęła głową do swoich myśli. Jego słowa potwierdziły jej odczucia i dodały wątpliwości. Westchnęła tylko i wytyżyła swoje magiczne zmysły.

– Wyczuwasz ich w pobliżu? – zapytała po dłuższej chwili.

Milczał skupiony na tym, co robił.

– Nie – odpowiedział po dłuższej chwili. – Okręt co prawda płynie zdecydowanie szybciej... ale jeżeli oni natrafili na ten szkwał wcześniej, to...

– Są już poza zasięgiem. To masz na myśli?

Kiwnął głową, potwierdzając.

– Czyli... wracamy?

– Zaskoczę cię, ale jeszcze nie.

Znów zamilkł, myśląc o czymś. Nie przeszkadzała mu w tym.

– Popłyniemy na wschód. To jest jedyny kierunek, który mogli obrać – zdecydował. – Będziemy płynąć aż do zmierzchu – dodał, dając znak sternikowi, aby zrobił skręt.

– Wreszcie. – Kobieta odetchnęła z ulgą.

Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem.

– Nie spałaś całą noc... Odpocznij – zaproponował jej.

– Ym... Chciałabym być...

– Obudzę cię – obiecał.

– W takim razie dobrze. – Obróciła się i ruszyła ostrożnie w stronę nadbudówki.

W swojej kajucie użyła prostych czarów, aby uspokoić wodę w bali do pobieżnej toalety. Zaraz potem i po zmianie bielizny założyła swój skórzany strój i położyła się na koi. Zaczepiła zrobioną z grubych sznurów sieć zabezpieczającą przed wypadnięciem podczas znacznych przechyłów i niemal natychmiast zasnęła.



Obudziło ją spokojne kołysanie przy bocznej fali. Otworzyła oczy. Nie pierwszy raz była na morzu, toteż szybko zorientowała się, co i jak. Niespodziewanie zassało ją w żołądku z głodu. Zdała sobie sprawę, że od dłuższego czasu nie miała okazji, aby cokolwiek zjeść. Za bulajem było szaro. Nadchodziła noc. Ktoś zastukał w drzwi kajuty.

– Zaraz – powiedziała i odpięła sieć zabezpieczającą przed spadnięciem z koi.

Zwinnie zeskoczyła na podłogę pokładu.

– Wejdz, Marlan – powiedziała, wyczuwając słabą emanację jego magicznej mocy.

Jej mistrz otworzył drzwi. Zanim wszedł, przepuścił przed sobą pomocnika kuka z tacą pełną jedzenia. Rosły młodzian położył kolację na stole i bez słowa wyszedł. Widać było, że jest odrobinę skosternowany ich obecnością. Mag przysiadł na sąsiedniej koi.

– Zjemy i zdecydujemy, co dalej – powiedział do niej.

– Bardzo chętnie. Tak mnie zassało, że... – Pokręciła głową. – Wnioskuje, że nici z pogoni – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Niestety. Jednak do lądu nie mamy daleko. Chcesz płynąć dalej? – zapytał.

– A ty nie?

– Możemy mieć kłopoty.

– Do brzegu możemy dopłynąć szalupą i tam się rozejrzeć. – Sięgnęła do półmiska z mięsem.

– Możemy. – Patrzył na nią z uwagą.

– Jedz. – Wskazała na półmisek.

Sięgnął ręką przed siebie i nagle zamarł w bezruchu. Ona też to wyczuła. Coś płynęło w ich stronę.

– Nadal jesteście osłonięci czarem? – zapytała.

Kiwnął twierdząco głową.

– No to nie ma... – nie dokończyła.

W bulaju dostrzegła zarys jakiegoś obiektu. Zakołysało nimi solidnie, a do tego dał się słyszeć groźny zgrzyt tarcia i trzask pękającego drewna. Oboje zerwali się na nogi i rzucili do drzwi. Nie było czasu na otwieranie portalu teleportacyjnego. Szybciej było na nogach. Wbiegli na pokład. Minęło ich właśnie coś olbrzymiego. Dwa uderzenia serca później okręt zniknął w oddali, a oni stali z otwartymi ustami. Zaskoczenie trwało dłuższą chwilę.

– Co to... Marlan... co to było? – zapytała z lekkim drżeniem w głosie dziewczyna.

– Tego nie wiem. Płynęło... więc chyba okręt. Gorzej z naszym statkiem. – Wskazał na zniszczenia.

Miał rację. Przedni maszt złamany. Reje na drugim maszcie połamane. To był efekt tego, że otarli się burta o burtę.

– Ale co pływa tak szybko przy bocznym wietrze? – zapytała. – A do tego jest tej wielkości?

– Tego nie wiem. – Był równie zdezorientowany. – Ale wiem, że musimy dopłynąć do jakiegokolwiek portu.

Pokiwała odruchowo głową, potwierdzając jego słowa.

– Teraz nie mamy innego wyjścia – mruknęła.

Podszedł do nich kapitan statku.

– Jakie są rozkazy? – zapytał maga.

– Płyniemy na ląd. Znasz tu pewnie jakiś port. Trzeba... – Wskazał na zniszczenia.

– Znam, panie. Mamy trochę ładunku... Możecie udawać kupców
– dodał.

– Całkiem niezły pomysł, kapitanie. Nie pytaj mnie o to, co nas minęło
– uprzedził. – Bo nie mam pojęcia – dodał. – Poradzicie sobie czy może...

– Nie trzeba, panie. Damy sobie radę. Może tylko... No, ten czar...

– W sumie masz rację, bo ktoś następny może nas staranować i za-
topić. – Pstryknął palcami.

Przestrzeń wokół nich uległa małej zmianie. Teraz było nieco ja-
śniej, ale noc nadchodziła nieubłaganie.

– Trochę na zachód jest port w wolnym mieście Carakbaru. – Ka-
pitan spojrział na niebo, lecz na gwiazdy było jeszcze za wcześnie.

– Słyszałem o nim. – Kiwnął głową. – W takim razie płyn do tego
Carakbaru. Mam nadzieję, że dotrzemy tam o świcie.

– Wcześniej raczej nie – mówiąc to, kapitan spojrział na uszkodzenia.

– Chodźmy, Keetyko. Nic tu po nas. – Ruszył pierwszy.

Kobieta wpatrzona przez dłuższy czas w stronę, gdzie zniknął tam-
ten kolos, drgnęła i poszła za magiem.

– Dokończysz kolację? – zapytała po drodze na dół.

– Raczej nie. Idę spać, a tobie radzę to samo.

– Bo ja wiem... – Nie była przekonana.

– Już nie myśl o tym wszystkim – poradził jej, chociaż sam był niespokojny.

Nie opuszczała go myśl, że na południu za morzem, gdzie teraz
byli, ludzie coś wymyślili. Coś, co daje im przewagę. Nie był w stanie
sobie wyobrazić, ilu takim okrętem można przewieźć ludzi, koni czy
też machin oblężniczych. „Może nawet całą armię”, skonkludował
w myślach. Odkrycie tego było teraz dla nich najważniejszym zadan-
iem. To zdecyduje o być lub nie być dla ich królestwa i pozostałych
będących z nimi w przymierzu. Na razie te niewesołe myśli postano-
wił zostawić dla siebie. Pożegnali się przed jego drzwiami.



O świecie zamajaczył przed nimi odległy brzeg lądu. Oboje stali na dziobie okrętu.

– Nie za blisko, kapitanie, bo wyczuwam płyciznę – uprzedził mag.

W sporej odległości dostrzegli pomalowane na białą moło, wysunięte w morze. Nieco dalej od linii brzegu stały jakieś budowle. Nawet marynarze przyzwyczajeni do różnych widoków patrzyli na nie niedowierzająco. To coś nie do końca przypominało domy zamieszkiwane w ich stronach ani gdziekolwiek indziej. Nie mieli pojęcia, że na jednej z ławek na moło obudził się po nocnej imprezie chłopak. Patrzył na przepływający statek z otwartymi ustami.

– Szlag by to trafił. Co ja łyknałem, że jeszcze mnie trzyma – mruknął do siebie.

Okręt przepłynął, a on nadal nie wierzył w to, co zobaczył.

– Od dzisiaj żadnych kwasów – obiecał sobie solennie i położył się ponownie na ławce, aby dospać.



Postawny mężczyzna, nieco powyżej pięćdziesiątki, w przykrótkiej szpitalnej piżamie stanął w uchylonych drzwiach do sali. Prawą ręką trzymał stojak z zawieszoną kroplówką. Patrzył na leżące kobiety. Oddychały równo i miarowo, jakby spały.

– Popatrzyłeś już sobie, Leszek? – usłyszał głos szczupłej blondynki leżącej na jednym z dwóch łóżek.

– Jeszcze nie – odpowiedział żartobliwie. – Nigdy nie miałem okazji, bo zawsze jesteście...

– Nie rozwijaj się, chłopie – chciała go zgasić druga.

– Zostaw go, Renata. Nie żałuj mu... widoków – prowokowała ta pierwsza.

– W sumie masz rację, Olka. Ktoś jeszcze przeżył? Co to właściwie było?

– No właśnie, co to było? Jak Tomek i Marek?

– Meteoryt... Przynajmniej tak mówią – odpowiedział głos zza pleców Leszka.

– Tomuś! – Renata podsunęła się do pozycji siedzącej. – Nie wchodzi tu, zboreźniku.

– No coś ty? – Wyłonił się zza pleców z uśmiechem, który świadczył o czymś zupełnie innym. – Przyszedłem popa... przywitać się – poprawił się.

– Otóż to... Popatrzeć. Kobiety nie widziałeś. – Aleksandra też przesunęła się do pozycji siedzącej.

– Ciebie w piżamie nie. – Wszedł wolno ze swoim stojakiem do pokoju.

– Przyjdą piguły, to ci dadzą...

- He, he, he. Dadzą... myślisz? – przerwał jej.
 - Ty to tylko o jednym... – Renata szukała czegoś w zasięgu ręki, aby tym w niego rzucić.
 - Co z Markiem? – zapytała Aleksandra.
 - Z nami go nie ma – stwierdził Leszek.
 - Cholera... Czyżby...
 - Na razie nic nie mówią i to jest ciekawe. Może jest pod respiratorem – wtrącił się Tomek.
 - O! Idzie lekarz... zapytam. – Leszek obrócił głowę w tamtą stronę. – Panie doktorze, co z naszym kolegą?
 - Jego stan jest podobny do waszego...
 - To dlaczego go tu nie ma? – zapytała z daleka Aleksandra, która była trochę bardziej niecierpliwa.
 - Nic. To znaczy nie chce się wybudzić – odpowiedział, kiedy doszedł.
 - Aa. Czyli poza tym...
 - Tak. Poza tym wszystko w normie. Jutro was wypisujemy – poinformował ich.
 - Nie ma pośpiechu... – zaczął Tomek.
 - No pewnie! Ty byś tylko leżał – ofuknęła go Renata.
 - Z tobą...
- Nie dokończył, bowiem nagle ściemniły się wszystkie światła, a sekundę później zgasły całkowicie.

Inne pozycje autora:

